

ECHO KRAKOWA

ul. Wiślna 2

31-007 Kraków

Nr 6 z dn. 9-11-90

214

Pewnej grudniowej soboty w Teatrze Ludowym w Nowej Hucie odbyły się wystawne uroczystości pogrzebowe: JOANNA OLCZAK-RONIKER i KRZYSZTOF ORZECZOWSKI, zainspirowani filmem Andrzeja Wajdy „Człowiek z marmuru”, pożegnali mroczną przeszłość najmłodszego miasta Polski Ludowej. Widowisko rozpoczęło się na długo przed odstonięciem kurtyny. Z megafonów zamontowanych na zewnątrz i wewnątrz teatru słychać było bracia ZMP-owska ochoczo wyśpiewującą pieśń o znojnym, acz radosnym trudzie wszelkiej maści stachanowców. W progę gości podejmował nowy dyrektor teatru Jerzy Fedorowicz — we fraku. W holu, między tłumem oglądających się nawzajem widzów, przeciskali się wymyśli i wyczesani młodzi ludzie w krawacikach, uprzejmie rozdając powielony program Akademii ku czci Przywódcy Nowej Partii Ojca Narodu, Niestrudzonego Bojownika o Pokój — Bolesława Bieruta. Na drugiej stronie tego druku zapisana była kolejność wznoszonych okrzyków, z których wybieram dla Państwa jaśnen: „Niech żyje Nowa Huta, młodsza siostra Komsomolska, twierdza socjalizmu!” Widowni pilnowali panowie w skórzanych kurtkach, ztówróźbnie rozglądając się dookola. A było na co popatrzyć, bowiem tego wieczoru w teatrze zasiadł kwiat społeczeństwa: ci co niegdyś budowali ten

Z teatru

„Człowiek z marmuru”

piękny świat — pokolenie zetempowców oraz szyderycy spod różnych znaków i ugrupowań, którzy urodzili się później, wobec czego mieli okazję skutecznie (miejmy nadzieję) go rozwalić. Obie formacje bawiły się świetnie. Czy równie świetnie bawił się filmowy człowiek z marmuru — Jerzy Radziwiłowicz, który przybył do teatru z prawdziwą żoną — tego nie wiem, ponieważ minę miał nieprzenikloną...

Autorce scenariusza uroczystego pochówku ewidentnie dopomógł los. Wyobraźnia uczestników wieczoru wyraźnie szybowała w kierunku notatki zamieszczonej tego dnia w „Gazecie Wyborczej” z informacją o decyzji wyprowadzenia pomnika Lenina z alei Róż. Tym sposobem ideał sięgnął bruku, a teatr wyszedł na ulicę.

W maskaradzie ku czci Bolesława Bieruta i Edwarda Gierka — niczym w szopce betlejemskiej występowali wszyscy: kulak w rol; Wernyhory, pochód kobiet z siatami, przodownicy i przodownice, głupie żurnalistki i artyści

— apologeti epoki sukcesu. Scenografia miała równie wdzięczne pole do popisu. Szczególnie efektownie prezentował się balet biało-czerwonych szturmówek oraz wściekle kolorowych bibułkowych kwiatów na patykach. Ostatni raz widziałam także parę miesięcy temu — 9 września w Warnie podczas manifestacji z okazji święta wyzwolenia Bułgarii. Moje dziecko ten klasyczny pochód z feretronami przywódców, rykiem patetycznej sieczki z magnetofonów oglądało po raz pierwszy w życiu i oczy miało okrągłe jak spodki. Myślę, że gdy jeszcze trochę podrośnie i — nie daj Bóg — w jakimś teatrze obejrzy podobną powtórkę z historii nie uwierzy, że jego dziadkowie, a po części i rodzice trawili życie w szczytach tego upiornego bałwaństwa i bezguścia. I w tym cała moja nadzieja.

Część akademijna spektaklu wypadła bardzo dobrze. Trudno nie zauważyć gigantycznego wysiłku, jaki zespół włożył w pracę nad tym przedstawieniem. Aktorzy ładnie śpiewają, równiutko tańczą, z żarliwą czułością podają

sobie cegłówek, we współzawodnictwie pracy socjalistycznej. Równy poziom przedstawienia, kilka bardzo dobrych epizodów... Czyż można żądać więcej w czasach artystycznej posuchy panującej w krakowskich teatrach? Można i nawet trzeba! Trzecia część widowiska — finał 13 grudnia 81 roku budzi poważne zastrzeżenia. Te wyjące w uszach syreny milicyjne... Ten banalny dialog dwóch przegranych budowniczych świetlanej Polski... — Za bliskie to wszystko! Spłaszca kąt widzenia. Współczesnej tragedii narodu nie da się opowiedzieć w teatrze — to pewnik. Scena — w tym przypadku — jest niedziwnym i piaskim zwierciadłem życia. Rzeczywistość nabiera cech dramatu tylko z czasowego dystansu. Niby każdy o tym wie, a mimo to różni mądrzy ludzie nie potrafią odpędzić od siebie pokusy zapisywania czasu na gorąco i zazwyczaj łamią sobie na tym zęby. Niestety dotyczy to także autorki teatralnej wersji „Człowieka z marmuru”.

Poza wszystkim jest coś niesmacznego w tym nieustającym,

krwiożerczym potępianiu przeszłości w prasie, radiu, teatrze, kinie, telewizji. Niedawno przeczytałam w gazecie, że w Domu Polonii jakiś naukowiec z Moskwy odpowiadał na pytania tłumem czy prawdą jest jakoby Stalin był paranoikiem, tudzież posiadał tylko cztery palce u nogi... I z czego tu się śmiać? Z siebie samych? Myślę, że wielu ludzi zaczyna odczuwać przesyt tego powszechnego dziobania. Trzeba by zacząć odbijać się od dna ogólnych nastrojów, a przecież nie pomogą w tym ani obrazki fruujących szturmówek, ani informacje na temat ilości palców u nogi Wielkiego Wodza. Zdaje sobie sprawę, że jeżeli już musiał odbyć się uroczysty pogrzeb przegranych idei komunizmu — to okolice placu Centralnego są do tego wymarzone miejsce. No więc obejrzymy tę programową kwintesencję kiczu i kończmy z igrzyskami. Normalniejemy. Zajmiemy się Molierem i Szekspierem.

ELŻBIETA KONIECZNA

Teatr Ludowy w Nowej Hucie: JOANNA OLCZAK — RONIKER „Człowiek z marmuru” — początek i koniec”, reżyseria KRZYSZTOF ORZECZOWSKI, scenografia ELŻBIETA KRYWSZAFEDOROWICZ, choreografia JACEK TOMASIK, oprac. muz. JO-LANTA SZCZERBA.